



BEN ELTON
DWAJ BRACIA

Fascynująca saga żydowskiej rodziny

DWAJ BRACIA

[Kup książkę](#)

BEN ELTON DWAJ BRACIA

Przełożyła Elżbieta Maciejewska

[Kup książkę](#)

Two brothers© 2012 by Ben Elton
Published as *Two Brothers* by Transworld Publishers.
All rights reserved
Polish edition copyright©2015 Zona Zero

All rights reserved
Wydawnictwo Zona Zero, Warszawa 2015

SERIA: Piętro wyżej
Organizator projektu: Łomnicka-Agencja PR
pietrowyzej1@gmail.com

Przekład z języka angielskiego: Elżbieta Maciejewska
Projekt graficzny okładki: RJ Projekt Robert Jasiński
Na okładce wykorzystano zdjęcia:
© Laura Maeva / Shutterstock.com
© Rob van Esch / Shutterstock.com
© KateStone / Shutterstock.com

Redakcja: Elżbieta Szelest
Korekta: Agnieszka Sroka
Skład: Typo2, Jolanta Ugorowska

ISBN: 978-83-935847-2-7

Wszystkie postaci występujące w książce są fikcyjne, z wyjątkiem postaci historycznych i faktów. Wszystkie podobieństwa do osób prawdziwych są przypadkowe.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

prawolubni

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

Wydrukowano w Polsce

[Kup książkę](#)

POWIEŚĆ „DWAJ BRACIA”
DEDYKOWANA JEST MOIM STRYJOM:

HEINZOWI EHRENBORGOWI,
KTÓRY SŁUŻYŁ W WEHRMACHCIE
OD 1939 DO 1945

|

GEOFFREYOWI ELTONOWI,
KTÓRY SŁUŻYŁ W ARMII BRYTYJSKIEJ
OD 1943 DO 1946

DZIEWCZYNA NA WÓZKU

Berlin, 1920

FRIEDA STENGEL zbudziła się ze snu wypełnionego maleńkimi kopnięciami i stwierdziła, że jej nocna koszula i prześcieradło są zupełnie mokre.

Świt już dawno wstał, ale początek dnia nie zrobił wiele dla zwalczania ciemności i przygnębiania poprzedzającej go długiej i mroźnej nocy. Jej oddech zawisał ciężko w przyćmionym świetle, gdy budziła męża.

– Wolfgang – wyszeptała. – Odeszły mi wody.

Usiadł gwałtownie na łóżku.

– Dobrze! – powiedział, rozglądając się dziko dookoła, usiłując się dobudzić. – Dobrze! Wszystko w porządku. Mamy plan.

– Jeszcze nie rodzę – uspokajająco powiedziała Frieda. – Nie mam bólów ani skurczów. Ale już się zaczęło, to pewne.

– Zachowaj spokój – powiedział Wolfgang, staczając się z łóżka i potykając o buty, które zostawił w pobliżu na wszelki wypadek. – Mamy doskonały plan.

Frieda spodziewała się bliźniąt, więc miała zagwarantowane miejsce na poród w szpitalu. Akademia Medyczna Berlin Buch znajdowała się wiele kilometrów od Friedrichshain, gdzie mieszkali, po drugiej stronie miasta. Szamocząc się z ubraniem, Frieda mogła tylko pocieszać się nadzieją, że dzieci nie będą się spieszyć.

Wolfgang wziął żonę pod ramię i zeszli po omacku trzy piętra dzielące ich mieszkanie od ulicy. Winda w budynku była starodawna i zdezelowana, więc zdecydowali, iż w przypadku tak ważnej podróży nie można mieć zaufania do ciasnej żelaznej klatki.

– Pomyśl, co by było, gdybyśmy w niej utknęli i gdybyś urodziła dzieci między piętrami – żartował Wolfgang. – Jest przeznaczona tylko

dla trzech osób! Ta jędzda dozorczyńni na pewno doniosłaby na nas do wspólnoty mieszkaniowej.

Niebo, które pochyliło się nad parą młodych, gdy wyszli na oblodzony chodnik, było tak ciemne i szare, jakby wykuto je z żelaza w piecach słynnej odlewni Kruppa w Essen, a potem nitami ze stali przymocowano nad Berlinem. Berlin zdawał się stale kulić pod niebem ze spiżu. Wojenne zimy i te, które potem nastąpiły, były rzeczywiście srogie i mijając spieszących rano do pracy robotników, którzy kulili się przed kłującym zimnem wschodnim wiatrem, trudno było Friedzie i Wolfgangowi pamiętać, że w Berlinie bywają też inne pory roku niż zima. Że był taki czas, gdy każde drzewo na Unter den Linden oślepiało jaskrawym kwieciami, a po Tiergarten spacerowali starsi panowie bez marynarek i dziewczyny bez pończoch.

Jednak w lutym 1920 roku wiosna i lato stanowiły odległe wspomnienie, marzenie o lepszych czasach, zanim wybuchła nad Niemcami katastrofa Wielkiej Wojny. Wydawało się, że nieboskłon jest podziurawiony salwami i że ciągle grzmi, a gdzieś za horyzontem, na polach Belgii i Francji i na nieskończonych stepach Rosji ciągle jeszcze huczą działa.

Oczywiście, nawet gdyby było ich na to stać, nie można było znaleźć żadnej taksówki, a tramwaje jak zwykle rozpoczęły kolejny ze swych strajków. Dlatego Stenglowie zamówili ręczny wózek u handlarza warzywami z sąsiedztwa.

Herr Sommer czekał na nich przed sklepem z wózkiem i bukietem marchewek przewiązanym wstążkami.

– Różowa i niebieska – powiedział Sommer – bo Wolf zapewnił mnie, że będziecie mieli chłopca i dziewczynkę. Rodzina w komplecie, raz a dobrze.

– To będą dwaj chłopcy – odparła stanowczo Frieda. – Uważaj, bo będą kłopoty, za parę lat będą ci podbierać jabłka!

– Jeśli będę miał jakieś jabłka – spokojnie odpowiedział handlarz, podczas gdy Wolfgang zaczął pchać wózek, ślizgający się i pobrzękujący na oblodzonym bruku.

W tej chwili w pobliskiej uliczce zabrzmiały strzały z automatu, ale zignorowali je, tak jak zignorowali wołania i wrzaski, które po nich nastąpiły, stuk podkutych butów i dźwięk tłukącego się szkła.

Strzały, podkute buty i tłukące się szkło były dla Friedy i Wolfganga zwykłymi odgłosami miasta, już ich nie zauważali. Były w Berlinie

tak pospolite, jak wołania sprzedawców gazet, śpiew ptaków w parkach i stukot kół pociągu nadziemnej kolei. Wszyscy je ignorowali, schylając głowy, szybko przechodząc obok, spiesząc, aby nie spóźnić się i stanąć w wybranej kolejce.

– Przekłęci idioci – mruknął jedenonogi weteran, mijając ich na swoich kulach.

– Masz rację – odparł Wolfgang do pleców mężczyzny i ogolonej głowy w małej wojskowej czapce.

Gazety nazywały te ciągłe zamieszki rewolucją – ale jeśli to była rewolucja, to jakaś szczególnego niemieckiego kroju. Administracja ciągle działała i biznesy się kręciły. Dzieci bawiły się na chodnikach. Sekretarki od ósmej trzydzieści były przy swoich maszynach do pisania. Policja dalej sprawdzała numery na zaparkowanych samochodach, nawet jeśli ich właściciele w pobliskich piwnicach właśnie kopali kogoś, żeby zabić albo sami ginęli od kopniaków.

Berlin po prostu dalej zajmował się swoimi sprawami, gdy w czasie przerwy obiadowej członkowie komunistycznych gangów i prawicowych jednostek Freikorps zabijali się nawzajem.

Frieda i Wolfgang też jakoś sobie radzili, a przynajmniej Wolfgang, mimo zimna, spocony za wózkiem, wioząc żonę przez zagruzowane ulice, klnąc i złorzecząc, gdy musiał okrążyć przypadkową barykadę, aż wreszcie dotarli do okazałych schodów słynnego szpitala akademickiego na pięć tysięcy łóżek przy Lindenberger Weg, największego w całej Europie.

Wolfgang zatrzymał wózek, wciągnął głęboko lodowate powietrze i zdjął torbę Friedy.

– Dostyc ciężka, co? – sapnął. – Naprawdę potrzebujesz tych wszystkich książek?

– Mogę tu trochę zostać – odpowiedziała Frieda, ciężko zsuwając się na chodnik po tylnej klapie wózka, krzywiąc się, gdy cały ciężar ciała spoczął na opuchniętych kostkach. – A mam jeszcze trochę roboty.

– No tak, rozumiem cię, Fred – przytaknął Wolfgang, racząc się papierosem. – Wyszłaś za muzyka. Muzyka, który nadal ma nadzieję, że kiedyś będzie żył na takim poziomie, do którego będzie chciał się przyzwyczaić.

– Wolf, jesteś kompozytorem – uśmiechnęła się Frieda. – A nie jakimś tam muzykiem. Powiedziałam rodzicom, że wychodzę za przyszłego Mendelssohna.

– Niech Bóg broni, mam nadzieję, że nie. Za dużo tam melodii. Muzyka do kotleta to nie dla mnie, Freddy, wiesz dobrze.

– Ludzie lubią melodie. Płacą za melodie.

– Dlatego, kiedy nadarzyła się okazja, wziąłem sobie miłą i mądrą dziewczynę. Każdy jazzman potrzebuje zaślepionej pani doktor, żeby o niego dbała.

Wolfgang objął Friedę w jej gargantuicznej talii i pocałował.

Frieda roześmiała się, wyzwalając się z jego objęć.

– Nie jestem zaślepiona, jestem zaledwie tolerancyjna. I nie jestem też panią doktor. Jeszcze nie, ciągle mam do zdania końcowe egzaminy. Uważaj na moje książki. Są pożyczone i każą ci zapłacić karę, jeśli znajdą choćby zagniecenie na którejś stronie.

Frieda studiowała medycynę na Uniwersytecie Berlińskim. Dostała nawet stypendium, w co jej głęboko konserwatywni rodzice wciąż jeszcze nie mogli uwierzyć.

– To znaczy, że płacą za edukację? Nawet kobietom? – dopytywał ojciec z niedowierzaniem.

– Muszą, tato. Większość chłopców nie żyje.

– Mimo wszystko. Kobiety lekarzami? – odparł ojciec, kryjąc załopotanie w solidnych, ponadczasowych, krótko przyciętych pruskich wąsach. – Kto miałby do nich zaufanie?

– A kto będzie miał wybór? – odparowała Frieda. – To dwudziesty wiek, tato, powinieneś wreszcie się dołączyć, minęły już dwie dekady.

– Mylisz się – powiedział ojciec z ponurym namaszczeniem. – Dopiero niedawno się zaczęło, kiedy abdykował Jego Cesarska Mość. Tylko Bóg wie, gdzie i kiedy to się skończy.

Ojciec Friedy był policjantem, a matka dumną gospodynią domową. On przynosił pieniądze, ona prowadziła dom i wychowywała dzieci. Ich postawy kształtowały się za kajzera i polityczne i kulturalne trzęsienie ziemi w powojennej Republice Weimarskiej zupełnie ich zdezorientowało. Żadne z nich nie rozumiało rządu, który zajmował się równością płci, chociaż nie potrafił zahamować strzelaniny na ulicach.

Ani zięcia, który założył rodzinę, chociaż nie było go stać nawet na taksówkę, żeby zawieźć żonę do szpitala.

– Gdyby tata zobaczył, jak wiesz ciążną żonę do porodu wózkiem handlarza warzywami, to wziąłby strzelbę i cię zastrzelił – skomentowała Frieda, gdy mozolnie wspinali się po szpitalnych schodach.

– On mnie prawie zastrzelił za to, że zaszłaś w ciążę – odparł Wolfgang, szukając w kieszeniach marynarki skierowania do szpitala.

– Zrobiłby to, gdybyś się ze mną nie ożenił.

– No, mam je. Jesteśmy na miejscu.

Wokół nich kłębili się chorzy, zmarznięci ludzie, tłocząc się w ogromnych szpitalnych drzwiach.

– Wrócę dziś wieczorem – powiedział Wolfgang. – Żeby mi was było wtedy już troje.

Frieda złapała go za rękę.

– Dobry Boże, Wolf... – wyszeptała. – Jak to ująłeś... Dziś jesteśmy tylko my dwoje, a jutro będziesz ty, ja... i nasze dzieci.

Powiew wiatru sprawił, że zadrżała. Nieprzyjemny, mokry od deszczu chłód przeniknął przez jej cienkie ubranie. Wolfgang jeszcze raz objął ją, tym razem nie żartobliwie, ale namiętnie, niemal z desperacją. Dwoje zmarzniętych ludzi wtulonych w siebie pod nieubłagany granitowymi kolumnami olbrzymiego miejskiego budynku.

Dwa młode serca bijące do wtóru.

Dwa kolejne, jeszcze młodsze, w cieple brzucha Friedy.

Cztery serca zespolone miłością w surowych uderzeniach innego, wielkiego serca. Zrobionego z kamienia i żelaza. Berlina, serca Niemiec.

– Właśnie tak – odparł Wolfgang. – Ty, ja i dzieci. Najlepsza i najpiękniejsza sprawa, jaka kiedykolwiek istniała.

I po raz pierwszy mówił bez uśmiechu, nie próbując żartować.

– Tak, jaka kiedykolwiek istniała – cicho powiedziała Frieda.

– No, dobrze. To do roboty, Fred. Nie będziemy stać i się roztkliwiać na tym cholernym zimnie.

Nie było mowy, żeby Wolfgang mógł zostać i czekać w szpitalu. Niewielu przyszłych ojców mogło sobie pozwolić na oczekiwanie przed oddziałem porodowym, rozdając tradycyjne cygara. Herr Sommer potrzebował wózka, a Wolfgang, jak wszyscy inni w tym mieście tej okropnej zimy, musiał stanąć w kolejce.

– U Horsta jest mięso – powiedział, schodząc po schodach do miejsca, gdzie zostawił wózek. – Jagnięcina i wieprzowina. Mam zamiar zdobyć trochę dla ciebie, nawet jeśli miałbym zastawić moje pianino. Potrzebujesz żelaza, jeśli masz karmić naszego synka i naszą córeczkę.

– Naszych synków – odparła Frieda. – To będą chłopcy. Mówię ci, kobieta to wie. Paulus i Otton. Chłopcy. Mają szczęście chłopaki.

– Dlaczego mają szczęście? – zawołał Wolfgang. – To znaczy poza tym, że będą mieli najpiękniejszą mamę na świecie?

– Bo są bliźniakami. Będą mieli siebie nawzajem, Wolf. To trudne miasto w trudnym świecie. Ale cokolwiek się zdarzy – nasi chłopcy będą zawsze mieli siebie nawzajem.

HERBATA I CIASTECZKA

Londyn, 1956

STONE GAPIŁ SIĘ na stojący przed nim, nakryty jutą stół. Na filiżanki i ciastka, i na notatnik z żółtego papieru i leżące na nim wieczne pióro. Skoncentrował się na czarnym bakelitowym telefonie o ostrych, kanciąstych kształtach i postrzępionym, poskręcany, brązowym bawełnianym sznurze. Musi pochodzić z początku lat trzydziestych.

Czym się zajmował, gdy ten sznur był nowy?

Bił się, bez wątpienia. Albo biegał wystraszony po ulicach Berlina, szukając jakiejś alejki, w której mógłby się ukryć. Obaj z bratem, depcząc sobie po piętach, dwóch nastolatków w śmiertelnym strachu o życie.

Stone pobiegł wzrokiem za sznurem spływającym ze stołu, po nieco spaczonym rubinowym linoleum, aż do dużej czarnej skrzynki przyśrubowanej do przypodłogowej listwy. Zdawało mu się, że słyszy brzęczenie skrzynki, ale mógł to być odgłos odległego ruchu drogowego na Cromwell Road.

Nerwowo poruszył się na krześle. Nie przywykł do przesłuchań przez rządowych urzędników w оголоconych z mebli pokojach. Nawet teraz nie mógł sam siebie przekonać, że jest bezpieczny. Nawet teraz jakaś część w nim spodziewała się przemocy.

Chociaż to przecież była Anglia, nie robili tutaj takich rzeczy. Niektórzy z lewicujących znajomych Stone'a uśmiechali się drwiąco, gdy to mówił. Ale oni nie mieli pecha żyć w kraju, gdzie nagła i bezwzględna przemoc była normą, a nie wyjątkiem.

Stone ponownie spojrział na przesłuchujących. Klasyczna para. Jeden niski i dość tęgi, łysiejący, z wąsami jak natrętna plama z zupy, z paciorkowatymi oczkami zerkającymi ciągle w stronę ciasteczek. Ten

drugi, niewiele wyższy, ale szczuplejszy, stojący w rogu nagiego pokoju bez okien, przyglądający mu się lekko przymkniętymi oczami. Stone czuł się, jakby grał w filmie. Jakby przesłuchiwał go Peter Lorre, podczas gdy Humphrey Bogart przyglądał się zagadkowo, nie ujawniając swoich zamiarów.

– Jedzie pan do Berlina z nadzieją spotkania się z wdową po pana bracie?

Niższy mężczyzna już po raz drugi zadał to pytanie.

A może było to stwierdzenie? Z całą pewnością była to prawda. Ale skąd wiedzieli?

Czytali list od Dagmary. Oczywiście.

– Przypuszczalnie wdową – powiedział Stone, unikając odpowiedzi na pytanie. Życiowe doświadczenie nauczyło go, że tak długo, jak się da, nie należy udzielać władzom informacji.

– Nie sądzi pan, że brat nie żyje?

– Nie ma na to dowodów.

– Ma pan na myśli ciało?

– Tak mi się wydaje.

– Pana brat jest z całkowitą pewnością uznany za zmarłego – odpowiedział Lorre, kapitulując w końcu przed talerzykiem z ciasteczkami i biorąc kruchy paluszek. – Zabity przez Rosjan podczas bitwy o Moskwę w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku.

– Tak zostałem poinformowany po wojnie, przez władze wschodnich Niemiec – powiedział Stone.

– Czy ma pan powody, by w to wątpić?

– Nie. Żadnych. Tyle że zawsze miałem nadzieję. Mój brat miał zawsze jakiś plan. Trudno byłoby go zabić.

– W Waffen-SS byli sami twardzi, trudni do zabicia mężczyźni. Przynajmniej dopóki nie zaczęli przyjmować chłopców. Pana brat wstąpił w czterdziestym roku, prawda?

Czy był w tym cień drwiny? Stone poczuł wzbierający gniew. Jakie prawo do oceny miał ten zadowolony z siebie, mamlający ciastko mały człowieczek? Nie było go tam, gdzie był jego brat. Gdzie byli matka i ojciec.

I Dagmara.

Znowu poczucie winy.

Poczucie winy ocalonego, tak nazwali to psychiatrzy.

– Mój brat nie był nazistą – stwierdził stanowczo Stone.

– Oczywiście, że nie był – odparł Peter Lorre i teraz drwina była już wyraźna. – Żaden z nich nie był nazistą, prawda? Albo teraz tak twierdzą. A Waffen-SS nie była prawdziwą SS, prawda? Nigdy nie było obozów. Ich nie można winić.

– Mój brat ożenił się z Żydówką – powiedział Stone.

– Tak, wiemy o tym. Dagmara Stengel, z domu Fischer. Jedzie pan do Berlina spotkać się z nią. Czy nie o to chodzi?

Stone ponownie wpatrywał się w filiżanki i spodeczki. Nie miał ochoty im się spowiadać, ale pytanie było najwyraźniej retoryczne, a on nie chciał zostać przyłapany na kłamstwie.

– Tak, z Dagmarą Fischer – przyznał.

– Dagmarą Stengel.

– Znałem ją jako Dagmarę Fischer. Wyszła za mojego brata po moim wyjeździe z Niemiec.

– Kiedy po raz ostatni widział pan panią Stengel?

Stone zaciągnął się głęboko dymem z papierosa i zamknął oczy. Jak często przeżywał tę chwilę? Gwizd pociągu i stukot ruszających kół. Zapach jej włosów. Marsz nadawany przez głośniki, który tak bardzo utrudniał wyszeptanie wszystkiego, co musiał powiedzieć.

– W trzydziestym dziewiątym – odpowiedział.

– W Berlinie?

– Tak. W Berlinie.

– A po wojnie? Czy próbował pan ją odnaleźć?

– Oczywiście. Próbowałem odnaleźć całą moją rodzinę.

– Był pan w Niemczech?

– Tak. Z armią. Pracowałem w obozie dla osób przesiedlonych, w Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy. Wiecie to, wszystko jest w moich aktach.

– Więc – zauważył Peter Lorre z ustami pełnymi ciasteczka – w dobrym miejscu do szukania nieuchwytniej Żydówki?

Nieuchwytna Żydówka. Co za określenie. Ten mały człowieczek najwyraźniej nie miał pojęcia, ile zwyczajnej pogardy i podejrzliwości ono zawiera.

– Nieuchwytna Żydówka? – powtórzył Stone. – Co, do licha, pan przez to rozumie?

– Mam oczywiście na myśli panią Stengel.

– Więc niech pan to, do cholery, powie.

Na moment zaległa cisza.

– No więc pani Stengel? – podjął Lorre. – Nie znalazł jej pan?

– Nie.

– Co się z nią stało?

– Nigdy się nie dowiedziałem.

– Jeszcze jedna anonimowa ofiara Holokaustu?

– Tak przypuszczałem.

– Ale teraz pan sądzi, że ocalała?

Stone milczał przez chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Ostatnio pozwoliłem sobie mieć nadzieję, że żyje.

– A to dlaczego?

Stone ze wszystkich sił starał się nie rozzłościć. Gniew nigdy nie pomaga. Nie w przypadku takich ludzi, jacy siedzieli za stołem pokrytym zieloną jutą z filiżankami z herbatą i pustym żółtym notatnikiem.

– O co tu chodzi? – zapytał Stone. – Nie rozumiem, dlaczego chcecie to wiedzieć ani też dlaczego ja miałbym wam to powiedzieć.

– To bardzo proste – powiedział tłusciuch, łamiąc kolejne ciastko i biorąc większą część. – Jeśli będzie pan z nami współpracował, wkrótce będzie pan mógł jechać. Jeśli nie, istnieje wystarczająco dużo biurokratycznych procedur, żeby trzymać tu pana w nieskończoność. Może pan nie dojechać do Berlina przed rokiem dwutysięcznym, kiedy to będzie pan już bardzo starym człowiekiem, a Berlin będzie wówczas już tylko stosem tłących się radioaktywnych śmieci. Więc niech pan będzie sensownym facetem i odpowie na nasze pytania. Dlaczego ma pan teraz nadzieję, że Dagmara Stengel żyje?

Stone wzruszył ramionami. Ten wyniosły wieprz i tak już wie.

– Ponieważ skontaktowała się ze mną.

– Tak ni stąd, ni zowąd?

– Tak. Ni stąd, ni zowąd.

– Po siedemnastu latach?

– Tak jest.

– I jest pan pewien, że to była pani Stengel?

W tym sęk. Był pewien. Był całkowicie pewien. Pismo, ton, wspomnienia, które list zawierał. A jednak...

– Napisała, że przetrwała prawie całą wojnę w Berlinie jako – jak to wówczas nazywano – łódź podwodna – odpowiedział Stone, unikając odpowiedzi na pytanie Lorre'a. – Ale Gestapo złapało ją w czerwcu czterdziestego czwartego i wysłało do Birkenau. Wygląda na to, że uciekła.

– Rzadki przypadek.
– Takie rzeczy się zdarzały, rzadko, ale zdarzały. Twierdzi, że uciekła podczas rewolty Sonderkommando w Krematorium IV i resztę wojny przeżyła, walcząc w polskim ruchu oporu. A potem Sowieci znowu wsadzili ją do obozu razem z resztą ocalałych polskich partyzantów.

– Niezła historyjka.
– Ale nie niemożliwa. Dagmara była twarda i zaradna mimo swoich eleganckich manier.

– Widzę, że trudno panu w to uwierzyć – powiedział grubas, patrząc bacznie na Stone’a. – Nic dziwnego, po tak długim czasie. Jednak muszę panu powiedzieć, że to prawdziwa historia. A przynajmniej jej zakończenie. Dagmara Fischer żyje, ma się dobrze i mieszka we wschodnim Berlinie.

Przyływ radości, jaki poczuł, był tak nagły, jak nagły i gwałtowny poryw czuł czasem we śnie. Kiedy to on, a nie jego brat obejmował Dagmarę Fischer mokrymi od deszczu ramionami na plaży w Wannsee.

– Skąd pan to wie? – spytał Stone, próbując ukryć drżenie głosu.

– Dużo wiemy.

Stone walnął pięścią w stół. Filiżanki zagrzechotały. Słuchawka antycznego telefonu podskoczyła na widelkach. To była jego sprawa, nie ich. Jego rodzina. Jego życie. Jakie mają prawo zachowywać się, jakby to była jakaś gra!

– Skąd to wiecie! – domagał się. – Powiedźcie mi!

– Mamy swoje źródła – odpowiedział tłusciuch, ignorując gniew Stone’a i biorąc pozostałą część ciastka. – Tajne źródła.

– Czy jesteście z MI6?

– MI6 nie istnieje, panie Stengel.

– Stone! Nazywam się Stone. To moje nazwisko od cholernych piętnastu lat!

– Tak, zmienił je pan, prawda?

I znowu ta ukryta drwina. Tym razem przeznaczona nie dla Niemców, którzy twierdzili, że nie są nazistami, ale dla podstępного Żyda, który zmienił nazwisko, żeby ukryć swoje żydostwo. To właśnie cali Brytyjczycy, lubią działać na dwie strony. Fakt, że uratowali świat dla przyzwoitości i fair play nie oznaczał, że teraz przeklęte Żydki mogą się wywyższać.

– Zmieniłem nazwisko – warknął Stone – bo tak mi doradzono w wojsku. W Armii Brytyjskiej. Gdybym został pojmany w akcji i gdyby odkryto, że jestem Żydem, zostałbym zagazowany.

– W porządku. Spokojnie, niech się pan nie denerwuje – powiedział mały człowieczek z protekcyjnym uśmieszkiem. – Wiemy o tym.

– Cholernie dużo wiecie.

– Staramy się.

– Bo jesteście z MI6 – powiedział Stone. – Secret Service.

– Nie możemy panu tego powiedzieć, prawda, panie Stone? Wtedy to już nie byłby sekret.

Peter Lorre uśmiechnął się, otarł usta, najwyraźniej ubawiony swoim żarcikiem.

Stone mógł się być domyślić od początku. Sam wygląd pokoju był wystarczającym dowodem. Pusty, poza stołem, herbatą, ciastkami, papierem i telefonem. Żadnej książki, ulotki ani notatki. Żadnych wykresów na ścianie, kosza na śmieci pod stołem, nawet ani jednego spinacza. Czy normalne biuro tak wygląda? Nawet policja ma plakaty na ścianach.

No i ta podwójna gra. Gaduła i milczek. Klasyka, oczywiście. Taki banał. Naprawdę mógł się domyślić. Szpieczy w całej okazałości.

I mówią, że Dagmara z całą pewnością żyje.

I znowu przypływ radości.

Przetrwała. Berlin. Obozy. Gułagi. Wszystko przetrwała.

I przez tę całą straszliwą ciemność pamiętała o nim. O nim, który ją kochał.

Który ciągle ją kocha.

Który zawsze będzie ją kochał.

BLIŹNIĘTA

Berlin, 1920

.....

OKAZAŁO SIĘ, że Frieda miała rację, to było dwóch chłopców, ale poród był długi i skomplikowany i przeżył tylko jeden z nich, drugi zadusił się zaplątaną pępowiną.

– Bardzo mi przykro, Frau Stengel – powiedział doktor. – Drugie dziecko zmarło w trakcie porodu.

A potem zostawili ją samą.

Nie z delikatności, tylko dlatego, że szpital był przepełniony. Po czterech latach wojny i „rewolucji”, która po niej nastąpiła i okazała się wściekłym i bełkotliwym nieudacznikiem, nie pozostało wiele miejsca na uprzejmości, szczególnie w medycznej profesji. Frieda, której komplikacje okołoporodowe nie dotknęły, miała świadomość, że jej nagi, pomalowany na żółto pokój będzie wkrótce potrzebny innym. Nie zostało jej za wiele czasu.

– Witaj, maleńki – szepnęła, próbując znaleźć w swoim sercu sposób na powitanie jednego dziecka i jednocześnie pożegnanie drugiego. – I żegnaj, maleńki.

Nie chciała, żeby radość z żyjącej, oddychającej istoty, która leżała w zagłębieniu jednego ramienia, pogrążyła się we łzach za małym zawiniątkiem leżącym bez życia w zagłębieniu drugiego, ale w tej chwili Frieda nie widziała innej możliwości. Wiedziała, że zawsze będzie opłakiwała swoje dziecko, które już nie żyło.

– *Auf Wiedersehen*, kochanie – szepnęła ledwie słyszalnie.

Słabe światło czterdziestowatowej żarówki wiszącej bez osłony nad łóżkiem padało na maleńką szarą twarzyczkę, chudziutką i pomarszczoną, jak u starego Chińczyka. Z drugiego zawiniątka dał się słyszeć płacz, początkowo słaby lament, który zyskiwał na sile w miarę

jak mała istota odkrywała siłę swoich płuc. Frieda wodziła wzrokiem od miniaturowej chińskiej maski pośmiertnej do płaczącego niemowlęcia i z powrotem. Jedna twarz blada i niema w śmierci, druga błyszcząca i coraz bardziej rumiana w zaraniu życia.

– *Auf Wiedersehen und guten Tag. Guten Tag und auf Wiedersehen.*

A potem powrócił doktor ze starą pielęgniarką, która zabrała martwe dziecko z ramion Friedy.

– Niech się pani uśmiechnie do niego z całą radością, Frau Stengel – powiedziała pielęgniarka, czyniąc nad nim znak krzyża. – Oszczędzono mu niedoli na tym świecie, zamiast tego od razu zaczyna cieszyć się radością życia wiecznego.

Ale Frieda nie mogła się uśmiechnąć. Nie wierzyła w życie wieczne i знаła tylko niedole życia doczesnego.

A potem przemówił doktor.

– Frau Stengel, waham się przed rozmową z panią po dopiero co przeżytej stracie, ale muszę to powiedzieć. Po sąsiedzku leży młoda kobieta. A raczej leżała. Zmarła przed godziną. Pani przeżyła, tracąc dziecko, a ta kobieta umarła, ale przeżyło jej dziecko... chłopiec.

Frieda ledwo go słyszała. Obserwowała, jak stara pielęgniarka zabiera ze sobą część jej samej. Nie do lepszego świata, jak obiecała, ale do szpitalnej piwnicy i pieca do spopielania zwłok. Nie będzie kwiatów ani modlitw. Przedłużająca się agonia Niemiec nakazywała, aby pozbywanie się ciał, nieważne jak niewinnych i maleńkich, było operacją efektywną i mechaniczną. To, co było w tym zawiniątku, żyło w niej przez dziewięć miesięcy, a teraz w niespełna dziewięć minut zamieni się w proch.

– Przepraszam doktorze – powiedziała Frieda. – O czym pan mówił? Matka i dziecko?

– Tylko dziecko, Frau Stengel. Matka zmarła podczas porodu. Jego ojciec także nie żyje. Komunista. Zastrzelony w Lichtenbergu.

Frieda słyszała o masakrze na przedmieściach Lichtenbergu. Tysiąc robotników otoczonych przez Freikorps i zastrzelonych na ulicy z pełnym przyzwoleniem ministra obrony narodowej. Wtedy nie było nawet wzmianki w gazetach, bo morderstwa stały się w Berlinie czymś nagminnym, nawet masowe morderstwa. Ale Frieda była osobą, która starała się być dobrze poinformowana.

– Rodzice wyrzekli się tej zmarłej dziewczyny – kontynuował doktor. – Nie chcieli dziecka czerwonych w rodzinie, a teraz, kiedy ona nie

żyje, tym bardziej go nie chcą. Są zmęczeni, ubodzy i niezainteresowani wnukiem, który jest osieroconym bękartem.

Słaba lampa nad łóżkiem świeciła jakby coraz jaśniej, w miarę jak Frieda zaczynała rozumieć.

Zawiniątko znikło, ale może ożyć na nowo. Wszystkie przygotowania poczynione przez nią i Wolfganga, cała miłość, która rosła w ich sercach dla dwojga dzieci, nie pójdzie na marne. Ta miłość jest potrzebna i to rozpaczliwie. Mała istotka czeka na właściciela. Frieda będzie jednak miała bliźnięta. Paulus będzie miał swojego Ottona i Otton będzie miał swojego Paulusa.

– Frau Stengel – mówił doktor – wiem, że jest pani w stresie, ale czy rozważyłaby pani...

– Proszę przynieść mi dziecko. – Frieda odpowiedziała jeszcze zanim doktor zdołał skończyć zdanie.

– Proszę przynieść mi mojego syna. On mnie potrzebuje.

– Ale pani mąż... – zaczął doktor. – Na pewno musi pani zapytać...

– Mój mąż jest dobrym człowiekiem, doktorze. Będzie czuł to samo, co ja. Proszę mi przynieść mojego drugiego syna.

Chwilę później w ramionach Friedy, gdzie tak krótko leżał stary szary Chińczyk, było nowe zawiniątko. Z czerwoną twarzyczką, zaślinione i zawodzące jak jego nowy bliźniak. Dwoje zdrowych dzieci, każde na jednym ramieniu. Tak, jakby czas stanął na godzinę i poród Friedy dopiero teraz się zakończył.

– *Guten Tag und guten Tag* – szepnęła Frieda.

Adopcja była prostą formalnością, koła tego procesu były dobrze naoliwione. Niemcy w 1920 roku może nie miały wielu mężczyzn, ale po wojnie i pandemii influency, która po niej nastąpiła, miały niewątpliwie rzeszę sierot, a tej sieroty szpital chciał się pozbyć jak najszybciej. Wyrwano Wolfganga z kolejki u rzeźnika i przygotowano niezbędne dokumenty, jeszcze zanim u Friedy pojawiło się mleko. Dziadkowie dziecka ze strony matki pokazali się na chwilę przy łóżku Friedy i podpisali papiery, nawet nie rzucając na nie okiem. Burkliwie życzyli Friedzie i Wolfgangowi szczęścia i na zawsze zniknęli z ich życia. Odeszli, zanim wysechł atrament.

I było ich czworo, zgodnie z planem i tak, jak przepowiadała Frieda. Frieda i Wolfgang i ich dwóch synów, Paulus i Otton. Otton i Paulus. Dwóch synów, dwóch braci, równie upragnionych, jednakowo kochanych. Równych w każdym calu.

Takich samych.

Tylko że niedokładnie takich samych.

Między chłopcami była jedna różnica. Różnica, której w tamtym czasie nie komentowano. Różnica, która nie miała najmniejszego znaczenia dla Friedy i Wolfganga. A jednak ta różnica miała w przyszłości stać się sprawą życia i śmierci. Jedno dziecko było Żydem, drugie nie.

JESZCZE JEDNO DZIECKO

.....
Monachium, 1920
.....

TEGO SAMEGO DNIA, gdy urodzili się bracia Stenglowie, 24 lutego 1920 roku, kilkaset kilometrów od Berlina, w Hofbräuhaus Bierkeller w Monachium, przyszło na świat jeszcze jedno dziecko. Jak wiele innych dzieci (nie tylko Paulus i Otto), było to dziecko głośnie i wściekle. Gdy odkryło swój głos, wykorzystywało go do krzyków i wrzasków, a kiedy odkryło swoje pięści, tłukło nimi w złości, ponieważ świat nie był taki, jak sobie życzyło.

Większość niemowląt z tego wyrasta. Kształtuje się ich rozum i świadomość, socjalizują się. Z tym dzieckiem było inaczej. Była to Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników, powstała tego dnia z prochów poprzedniego nieudanego wcielenia. Wrzeszczący głos i tłukące pięści należały do jej rodzącego się lidera, trzydziestoletniego kaprała w oddziale politycznym bawarskiej Reichswehry. Nazywał się Adolf Hitler.

Tej pamiętnej nocy, nadając partii nowe imię, Hitler przedstawił dwadzieścia pięć punktów, które miały być „niezbywalną” i „niezmienialną” podstawą programu partii. Większość tych punktów szybko została zapomniana zarówno przez Hitlera, jak i jego szybko rosnącą w siłę partię, były one jedynie ochłapem rzuconym quasi-socjalistycznym zasadom jej korzeni. Jednak inne punkty pochodziły od samego Hitlera i tym został on wierny do ostatniego tchnienia. Unia wszystkich ludzi mówiących po niemiecku. Całkowite odrzucenie układu wersalskiego. I przede wszystkim „rozwiązanie” kwestii żydowskiej. To były najważniejsze punkty i tej mroźnej zimowej nocy nieznany żołnierz bez grosza przy duszy, z głosem ochrypłym po trzygodzinnej przemowie, z zaciśniętymi pięściami, wymachujący ramionami,

tryskający śliną widoczną w zadymionych snopach świateł powiadomił zgromadzonych, że Żydzi są źródłem wszystkich problemów Niemiec i że on, Adolf Hitler, będzie ich nemezis. Każdego z nich pozbawi niemieckiego obywatelstwa. Żaden Żyd nie będzie mógł pełnić państwowych stanowisk. Żaden Żyd nie będzie mógł pisać dla gazet. I każdy Żyd, który przybył do Niemiec po 1914 roku, zostanie natychmiast deportowany.

To była ekscytująca mowa i tłum rykiem dał wyraz swojej akceptacji. Nareszcie pojawił się człowiek, który wiedział, dlaczego Niemcy przegrały wojnę. Dlaczego, zamiast jako zwycięzcy żyć dostatnio w Paryżu i Londynie, przyzwoici Niemcy byli w Monachium biedakami, z trudem wysupłującymi drobne na papierosy i piwo.

To przez Żydów. Chociaż stanowili tylko 0,75 procent populacji, z szatańską chytrącością wszystko to spowodowali, ale ten człowiek pokazał już tym skurczybykom ich miejsce.

Nikt, nawet sam Hitler, nie wyobrażał sobie tej nocy w 1920 roku, że uczyni im znacznie więcej.

OPERACJA ODWOŁANA

Berlin, 1920

FRIEDA I WOLFGANG podjęli decyzję o tym, żeby nie obrzezywać Paulusa i Ottona z najdziwniejszego i najosobliwszego z powodów. Postanowili tak wskutek nieudanej próby przejęcia władzy w Niemczech przez reakcyjnych fanatyków.

– To naprawdę czysty dadaizm – lubił żartować Wolfgang, gdy kilka lat później opowiadał tę historię, a chłopcy w kącie płonęli ze wstydu, że ich penisy są tematem rozmowy na przyjęciu. – To fundamentalny surrealistyczny *non-sequitur*. Jakiś idiota próbuje udawać w Berlinie Musoliniego i moi chłopcy muszą trzymać się swoich napleteków – mówiąc w przenośni oczywiście. Czyż nie jest to klasyczny przykład przypadkowego i chaotycznego zestawienia elementów? Życie naśladuje sztukę!

Z całą pewnością zamierzali chłopców obrzezać.

– Musimy to zrobić – powiedziała Frieda, gdy przywieźli dzieci ze szpitala do domu. – Dla moich rodziców to bardzo ważne.

– Moim rodzicom byłoby wszystko jedno, ale przypuszczam, że głos nieżyjących nie będzie się liczył w konfrontacji z wielmożnymi Tauberami – skomentował Wolfgang.

Oboje rodzice Wolfganga zmarli rok wcześniej. Jak miliony innych Europejczyków, przeżyli wojnę, ale zmarli zaraz po jej zakończeniu na grypę.

– Proszę cię, nie zaczynaj nowej tyrady przeciwko mojemu ojcu – poprosiła Frieda. – Zróbmy to i już. Tobie to jakoś nie zaszkodziło.

– Nigdy nie wiadomo. – Wolfgang zamruczał z udawaną lubieżnością. – Kto wie, jakie żądze uruchomiłby hełm z przyłbicą?

Frieda uciszyła go jednym z tych swoich spojrzeń. Dopiero przed kilkoma dniami przeżyła poród i nie była w nastroju do lubieżnych żartów.

– Po prostu umów rabina.

Ale los chciał inaczej i wątpliwości Wolfganga okazały się zbędne, bo i tak obrzezanie się nie odbyło. W dniu, w którym, jak nakazywała tradycja, miano dokonać dzieła, w mieszkaniu Friedy i Wolfganga zabrakło wody.

Stali przy kuchennym zlewie, do którego właśnie włożyli dwoje niemowląt z brudnymi pupami, domagającymi się kąpeli, ale wszystko, co usłyszeli, gdy przekręcili kran, to był odległy gulgot.

– Nie mamy wody – powiedziała Frieda.

– O, gównu – odpowiedział Wolfgang, spoglądając smętnie na swoje upačkane dzieci, po czym dodał: – I w dodatku mnóstwo gówna.

W tym momencie bliźnięta, choć mówić nie umiały, świetnie wy czuły wiszące w powietrzu napięcie, więc postanowiły wyrazić swoje zdanie i zaczęły drzeć się wniebogłosy.

– Dlaczego akurat nam zabrakło wody! – Frieda z trudem przekrzykiwała hałas.

Prawda jednak była taka, że nie tylko oni zostali pozbawieni wody, woda wyschła w całym Berlinie. Zabrakło też prądu i gazu. Stały tramwaje, nie działała poczta ani policja. Cała infrastruktura miejska, która działała nieprzerwanie podczas wojny, a i potem, choć bardziej sporadycznie, podczas dwóch lat głodu i walk ulicznych, nagle całkowicie ustała.

Powodem, dla którego to wielkie miasto zostało pozbawione wszelkich nowoczesnych wygod, było powstanie. Lokalne polityczne zero o nazwisku Kapp wmaszerowało przez Bramę Brandenburską na czele owianej złą sławą brutalnej brygady Freikorps, zajęło Pałac Prezydencki przy Wilhelmstrasse i ogłosiło, że jest nowym przywódcą Niemiec i że wszyscy mają robić, co każe. W odpowiedzi związku ogłosiły strajk generalny, odcinając wszystkie usługi i doprowadzając Berlin do brudnego, śmierdzącego zastoju. Wolfgang i Frieda nie mieli wody dla swoich dzieci, a beznadziejny Kapp nie miał papieru, na którym mógłby wydrukować proklamację, informującą Niemcy, że dzięki jego twarde mu przywództwu naród jest znowu silny.

Oczywiście brak wody był tym, co rodzicom dwojga niemowląt dolegało najbardziej. Wody z lokalnych pomp ulicznych wystarczało do picia, ale nie do mycia dzieci.

Z tego właśnie powodu Frieda nie pozwoliła zbliżyć się do dzieci rabinowi z jego małą torbą antycznych narzędzi i proszków, gdy jej ojciec sprowadził go w umówionym dniu.

– Na miłość boską, to jest operacja, tato – odpowiedziała na jego protesty. – To procedura medyczna, która wymaga właściwej higieny!

– Nie bądź śmieszna – powiedział ojciec. – To tylko małe nacięcie, prawie bezkrwawe.

Na próżno stary rabin zapewniał, że przez lata jego praktyki nie zmarło żadne dziecko, że jego osłony, nóż i skrzynka z ziołami są regularnie czyszczone i że zawsze przed przystąpieniem do czynu przemycił alkoholem zaostrzony paznokieć swego kciuka.

Frieda była nieugięta.

– Nic z tego. Na pewno nie, dopóki nie będzie z powrotem w ruciach wody. Poza tym, co złego jest w napletku?

– Frieda, proszę cię! – parsknął Herr Tauber. – To rabin!

– Właśnie, rabin – skomentował lakonicznie Wolfgang z kąta pokoju, gdzie mimo wczesnej pory nalewał sobie wódki, ponieważ nie można było zrobić kawy. – Może on potrafi odpowiedzieć na pytanie, co jest nie tak z napletkiem?

Herr Tauber zaczął dukać przeprosiny, ale rabin stwierdził, że bardzo chętnie wda się w debatę teologiczną.

– Azariasz powiedział – zaintonował posępnie, jednocześnie wykładając swoją antyczną kolekcję na równie szacownie poplamioną i zakurzoną starą szmatę – że napletek jest wstrętny, ponieważ jak napisano – jest on hańbą grzeszników.

– No tak, teraz wszystko jasne – uśmiechnął się Wolfgang.

– Napletek jest wstrętny? – zapytała Frieda.

– Tak zostało napisane – odparł z powagą rabin Jakobovitz.

– Przez Azariasza – dodał Wolfgang. – Znanego eksperta od penisów.

– W Talmudzie Babilońskim – powiedział stary człowiek z jednakową powagą, nieświadomy sarkazmu Wolfganga.

– Cholera! Miałem go przeczytać.

Herr Tauber jeszcze raz próbował interweniować.

– W napletkach nie ma nic złego tam, gdzie ich miejsce, Friedo, kochanie – powiedział pojednawczo, obrzucając gniewnym spojrzeniem Wolfganga.

– Tam, gdzie ich miejsce, papo! One są na swoim miejscu. Gdzież lepsze miejsce dla napletka niż koniec penisa?

– Tymczasowe, moja droga – kontynuował ojciec. – To jest ich tymczasowe miejsce. Bóg je tam umieścił, żeby można je było stamtąd usunąć.

– To absurdalne, papo – powiedziała Frieda. – To znaczy, proszę wybaczyć rabinie, z całym szacunkiem i w ogóle, ale jakby się tak nad tym zastanowić, to jaki jest cel tego całego zamieszania?

– Fakt, że nie ma jakiegoś określonego powodu, aby coś uczynić, nie znaczy, że nie trzeba tego robić – odparł rabin, chętnie przyjmując kieliszek sznapsa, podany przez Wolfganga.

– No właśnie! Sami widzicie! – rzekł z triumfem Herr Tauber, chwytając się tej uwagi, jakby rabin przekazał jakąś wielką i oczywistą mądrość. – Tradycja jest tradycją, Friedo, i nie możemy jej odrzucać dla naszej zachcianki. Jeśli wytrącisz wszystkie cegły z fundamentów domu, z pewnością dom się zawali.

Wolfgang wziął bliźnięta na ręce i zamknął w niedźwiedzim uścisku, po czym ułożył po jednym na każdym kolanie.

– Słyszycie, chłopaki? – zapytał. – Wasze wacki podtrzymują dom.

– Zamknij się, Wolf – syknęła Frieda, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– No, zastanów się tato – kontynuował Wolfgang. – Co ci zależy? Przecież nie jesteś religijny. Kiedy ostatni raz byłeś w synagodze?

– Niektóre rzeczy robimy, bo robimy – gniewnie powiedział Herr Tauber, a rabin nieprzerwanie potakiwał przy każdej jego uwadze, jednocześnie przyjmując od Wolfganga kolejne kieliszki sznapsa. – Jak ortodoksyjni Grecy z ich kadzidłami czy katolicy z opłatkiem, zdający sobie sprawę, że przecież to nie jest kawałek ciała Chrystusa. Te rzeczy się po prostu robi. To wystarczający powód. To wiąże nas z przeszłością. Wyraża szacunek dla starszych i zachowuje równowagę. To tradycja sprawiła, że Niemcy są wielkie.

Wolfgang znowu się zachnął.

– Niemcy nie są wielkie, Konstantynie – powiedział, dobrze wiedząc, że teść nienawidził, kiedy zwracano się do niego po imieniu, preferując zwrot „Herr Tauber” lub „tato”. – Niemcy to wrak. Kaleka, bankrut, głodujący i szalony. Gdyby Niemcy były psem, wpakowałbyś mu kulkę w łeb.

Konstantyn Tauber wzdrygnął się. Mimo że w 1914 roku był dobrze po czterdziestce, podczas Wielkiej Wojny dosłużył się odznaczeń i zdobył Żelazny Krzyż, który przy każdej okazji nosił na mundurze, a także na cywilnym ubraniu.

– Niemcy były wielkie – rzekł gniewnie – i będą wielkie znowu, mimo wszelkich wysiłków twoich i twoich lewackich przyjaciół.

– Wolfgang nie jest lewakiem, tato – powiedziała Frieda. – On tylko lubi jazz.

– To jest to samo – odparł Tauber. – I tylko lewak odmówiłby swoim synom ich kulturowego dziedzictwa.

– Co? Manipulowania przy ich kutasach? – dociekał Wolfgang. – Też mi dziedzictwo!

– Czy możesz opanować swój język przy mojej córce i rabinie?! – zagrmiał w odpowiedzi Tauber.

– To mój dom i będę mówił, co zechcę, kolego!

– Słuchajcie! – warknęła Frieda. – Dopiero co urodziłam bliźnięta. Nie ma wody. Nie ma ogrzewania. Nie ma światła i nie ma jedzenia. Czy możemy przełożyć kwestię napletków chłopców na inny dzień?

Rabbi ze smutkiem pokręcił głową.

– Inny dzień nie wchodzi w rachubę, pani Stengel – powiedział – bo dziś jest ósmy dzień i – jak napisano – obrzezanie nie może się odbyć innego dnia, chyba że życie dziecka jest zagrożone.

– Ich życie jest zagrożone – zaprotestowała Frieda. – W kranie nie ma wody.

– Przez trzy tysiące lat obywaliśmy się bez kranów – odpowiedział rabin Jakobovitz. – Podobnie jak obywaliśmy się bez ogrzewania i elektryczności. Obawiam się, że musimy to zrobić teraz albo nigdy, moja droga.

– Wobec tego nigdy – stanowczo powiedziała Frieda – ponieważ nie zrobimy tego, dopóki nie będzie wody.

– W takim razie – rzekł Jakobovitz, ożywiając się nieco – ponieważ pewna ręka nie jest już potrzebna, czy mogę pana prosić, Herr Stengel, o jeszcze jednego sznapsa?

Wolfgang spojrzał ze smutkiem na do połowy opróżnioną butelkę, ale gościnność była jedyną tradycją, którą szanował.

W końcu rabin i Herr Tauber wyszli i gdy ucił dźwięk ich niepewnych kroków na schodach, Frieda i Wolfgang popatrzyli na siebie.

Uśmiechali się, ale byli jednocześnie poważni; oboje wiedzieli, co myśleli drugie.

– Może to była ta chwila – powiedziała Frieda. – Może powinniśmy byli im powiedzieć.

– Ja chciałem powiedzieć temu staremu łajdakowi, naprawdę chciałem – odpowiedział Wolfgang. – Zwłaszcza gdy nawijał o tradycji i dziedzictwie kusiło mnie, żeby powiedzieć mu, że tradycją i dziedzictwem jednego z jego wnuków są katolicyzm i komunizm.

– Właściwie to się cieszę, że tego nie zrobiłeś – powiedziała Frieda.

– Nie było odpowiedniego momentu.

– Wiem, to trudne. Myślę, że i tak już jest za późno.

Wolfgang i Frieda nigdy nie chcieli utrzymywać adopcji w tajemnicy. Mieli zamiar natychmiast wszystkim o tym powiedzieć, zarówno przyjaciółom, jak i rodzinie. Nie wstydzili się, przeciwnie, byli dumni z tego, co zrobili, i dumni ze swojego syna. Z obu swoich synów. Ale jakoś nie trafili na odpowiednią chwilę.

– A właściwie, po co zawracać innym głowę? – zapytała Frieda.

– Dla nas to żaden problem, nawet o tym nie myślimy.

– Rzeczywiście, sądziłem, że będzie mnie to obchodzić, ale nie.

– To śmieszne, ale wydaje mi się, że to się nigdy nie wydarzyło. Że małe zawiniątko, które zabrali, było częścią całej procedury, chłopcy gdzieś się zagubili i tyle. Było ich dwóch, potem jeden zniknął na chwilę, a następnie wrócił. Z trzech małych duszyczek zrobiły się dwie.

Oboje spojrzeli na śpiących chłopców, ciasno zawiniętych, leżących obok siebie w jednym łóżeczku.

– Nie chcę, żeby był między nimi jakikolwiek dystans – mówiła dalej Frieda. – Albo między nimi a nami. Jesteśmy rodziną i grzebanie się w tym, jak się nią staliśmy, wygląda, jakbyśmy uważali, że to ważne, a przecież nie jest. Po co ma ktoś wiedzieć? Dlaczego ktoś miałby się tym interesować?

– No, wszystko jest w dokumentach szpitalnych – powiedział Wolfgang.

– I jeśli o mnie chodzi, może tam zostać – odpowiedziała Frieda.

– Nikogo to nie dotyczy, oprócz nas.

PŁACZ I WRZASK

Berlin, 1920

PUCZ KAPPA, jak go później nazywano, trwał mniej niż tydzień. Podczas gdy Berlin trząsał się z zimna i stał w kolejkach przy pompach po kroplę lodowatej wody, Kapp, ten niedoszły dyktator, spędzał samotne pięć dni, blukając się po Pałacu Prezydenckim, spoglądając rozpaczliwie na Wilhelmplatz i zastanawiając, jak by tu narzucić narodowi swoją niezłomną wolę. W końcu stwierdził, że się nie da, i pojechał taksówką na lotnisko Tempelhof, gdzie wsiadł na pokład samolotu lecącego do Szwecji, aby nigdy już nie być głową państwa.

Berlin świętował i setki tysięcy ludzi zgromadziło się na Unter den Linden, aby oglądać oddziały Freikorps Kappa wychodzące z miasta przez Bramę Brandenburską, tę samą, przez którą wkraczały z triumfem niecały tydzień temu.

Frieda i Wolfgang postanowili wziąć udział w świętowaniu.

– To wielki dzień dla Berlina – powiedziała Frieda z przejęciem, gdy przeciskali się przez tłum, popychając przed sobą wózek. – Nieczęsto się zdarza, że solidarność zwycięża armię. Solidarność to wszystko, czego potrzebujemy.

– Wszystko, czego ja potrzebuję – odparł Wolfgang, widząc stoisko z piwem i frytkami – to napić się piwa. W końcu to święto.

Rzeczywiście, w tłumie panowała atmosfera karnawału. Wszędzie pełno było ulicznych sprzedawców i muzyków grających za fenigi. Jednak nastrój w tłumie zaczął się zmieniać na ponury i gniewny, w miarę jak coraz bliżej słyszać było wycofującą się armię i Charlottenburger Chaussee i Unter den Linden grzmiały w śmiertelnym unisono twardym stukiem tysięcy podkutych butów o kamienne płyty.

– O, szlag... – nerwowo szepnął Wolfgang. – Chyba pierwszy raz niemieccy żołnierze paradują przez Bramę Brandenburską w kompletnej ciszy.

– To nie żołnierze – odparła Frieda. – To tylko głupie łobuzy.

– Nie podoba mi się to – zamruczał nerwowo Wolfgang. – To dziwne.

– Za późno – zauważyła Frieda.

Stali więc z wózkiem, podczas gdy znienawidzone oddziały maszerowały obok nich i szły dalej między wielkimi kamiennymi kolumnami słynnej bramy Fryderyka Wilhelma. Wyglądający na zmęczonych mężczyźni o gorzkich i gniewnych twarzach. Mimo wszystko żołnierze, niezależnie od tego, co mówiła Frieda, w starych wojskowych mundurach i stalowych hełmach.

– Co to za śmieszny, pokrzywiony krzyż namalowany na niektórych hełmach? – szepnął Wolfgang

– Nie wiem – odpowiedziała Frieda. – Wydaje mi się, że to krzyż hinduski.

– Hinduski? – Mimo dziwnej powagi tej chwili, Wolfgang niemal prychnął śmiechem.

– Tak, buddyjski lub hindu. Nie jestem pewna. Chyba nazywa się swastyka.

– Buddyjski? – z niedowierzaniem powtórzył Wolfgang. – To po prostu dziwacznie popieprzone.

Cisza zdawała się potęgować. Była na swój sposób tak głośna jak stukot butów.

Frieda miała później twierdzić, że to było piękne. Że milczące potępienie wielkiego miasta mówiło więcej niż krzyki i hałas. Wolfgang się nie zgadzał. Uważał, że od początku było to przerażające. Że ludzie milczeli ze strachu. Ze strachu przed tym, do czego byli zdolni maszerujący mężczyźni. Co mogło się zdarzyć.

Co się stało.

Kolumna prawie ich minęła, kiedy się zaczęło. Awangarda oddziałów zbliżała się do mostu nad rzeką Sprewą. Posępna masa ludzka trwała w milczeniu, a dumnie kroczące oddziały zachowywały porządek. Obie strony pozostawały osobno. Trwał dziwny rozejm.

I wtedy, blisko miejsca, gdzie stali Wolfgang i Frieda, trzymając przed sobą wózek, jakiś chłopiec krzyknął.

Jego wysoki, załamujący się głos zabrzmiał czysto mimo dźwięcznego, odbijającego się echem hałasu zsynchronizowanych kroków. Być

może, gdyby chłopiec nie był taki młody, a jego głos tak przenikliwy, nikt by go nie usłyszał, głos zginąłby w rytmicznym huku.

Ale chłopiec miał nie więcej niż dwanaście, trzynaście lat.

– Wynocha, zakute pały! – krzyknął. – Władimir Lenin na kancle-rza Niemiec!

Natychmiast dwóch żołnierzy wyłamało się z szeregów i wyciągnęło go z tłumu. Jakaś kobieta wrzasnęła i gapie zamarli w szoku, gdy członkowie Freikorps tłukli chłopca kolbami swoich karabinów, wybijając mu zęby pierwszym ciosem. Wtedy mężczyźni i kobiety z tłumu rzucili się do przodu, próbując ocalić umierającego chłopaka, otaczając obu szeregowców i chwytając ich młóćące karabiny.

– O Boże! – zawołał Wolfgang. – Zabierz dzieci z wózka, unieś wysoko, szybko, nad głowę. Szybko!

W tej chwili milczący tłum wokół nich zamienił się w rozzłoszczony motłoch. Ludzie z tyłu rzucili się do przodu, podczas gdy ci z przodu się cofali. W tej samej chwili, gdy Frieda i Wolfgang wyszarpnęli z niego dzieci, mały wózek przewrócił się, skrecony i zdeptany pod naporem nóg.

– Do tyłu! Do tyłu! – warknął Wolfgang. – Na miłość boską, utrzymaj się na nogach.

Przerażeni, każde z niemowlęciem nad głową, usiłowali znaleźć się jak najdalej od źródła kłopotów, przepychając się przez tłum pod prąd, patrząc na wykrzywione twarze oburzonych obywateli, którzy napierali w przeciwną stronę.

– Przepuście nas! Jesteśmy z dziećmi! – krzyczała Frieda.

Niektórzy ludzie, znajdujący się tuż przed nią, próbowali zrobić miejsce, ale za nimi napierali już inni, wyobrażając sobie, że swoją liczbą mogą się mierzyć z wyćwiczonymi żołnierzami. Okropne minuty, które nastąpiły, pokazały, jak bardzo się mylili.

Dał się słyszeć szorstki głos. Wydano rozkaz, zabrzmiała trąbka. Natychmiast oddziały jak jeden mąż zatrzymały się z potężnym grzmotem butów, a potem z kolejnym grzmotem wykonały bezbłędny półobrót w stronę kipiącego tłumu. Jeszcze jeden okrzyk, jeszcze jeden dźwięk trąbki i szare linie ze stukiem i szczęką wzniosły karabiny do ramion.

W tym momencie koszmar mógł się skończyć. Tłum się zatrzymał. Twarzą w twarz z tak wielką liczbą luf, słysząc doskonałe unisono podwójnego trzasku zmasowanego odbezpieczania karabinowych zamków, nieuzbrojeni cywile zatrzymali się w pół kroku i zaczęli się

cofać. Teraz mogło się to wszystko zakończyć. Chłopiec, który odważył się znieważać wielkie Freikorps, był martwy, a jego niedoszli mściciele zostali odpowiednio ujarzmieni.

Ale to były Niemcy. To był Berlin w 1920 roku i dżin przemocy raz wypuszczony, nigdy nie wracał do swojej butelki, nieważne, jak długo korek był zdjęty.

– Ognia! – zakrzyknął głos.

Tym razem trąbka była niepotrzebna, salwa podążyła za głosem bez zwłoki, śląc kule prosto w piersi i twarze ogłuszonych obywateli.

Gdy ludzie umierali, padając na chodnik, zamki karabinów ponownie wydały podwójny szczęk, tym razem jednak ich perfekcyjnie wyćwiczony rytm zagłuszyły krzyki.

– Ognia! – głos zabrzmiał ponownie i druga salwa uderzyła w ludzi, tym razem w ich plecy, bo tłum był już w pełnym odwrocie.

Trzeciej salwy nie było. Anonimowy głos oszczędził jej bezbronnym ludziom, ale już setki z nich nie żyły, a następni umierali w panice ślepej ucieczki.

Rodzina Stenglów znajdowała się zaledwie kilka kroków przed spanikowanym tłumem, wyłaniając się z niego w chwili, gdy zabrzmiały pierwsze strzały. Szybka reakcja Wolfganga z pewnością uratowała Paulusa i Ottona, a być może także jego samego oraz Friedę, jednak nie przestawali biec przez prawie dwa kilometry, ani razu nie zatrzymując się i nie oglądając za siebie.

Przy Bramie Brandenburskiej oddziały wojska zostały same ze swoimi ofiarami. Głos zabrzmiał raz jeszcze, po czym Freikorps sformowały na powrót kolumnę i wymaszerowały z miasta.

Następnego ranka obalony rząd na krótko powrócił do biur i woda ponownie pojawiła się w rurach.

PROPOZYCJA

Londyn, 1956

STONE DWA RAZY przełknął ślinę, zanim odpowiedział.

Po długich latach niepewności dopiero zaczął przyzwyczajać się do myśli, że Dagmara żyje. A teraz to.

– Szpieg? Moja bratowa jest szpiegiem? Wydaje mi się to – usiłował znaleźć właściwe słowo, ale bez powodzenia – bardzo dziwne.

– No, niekoniecznie szpiegiem – przyznał pulchny człowieczek, o którym Stone zaczął myśleć jako o Peterze Lorre. – Czy powinniśmy zaparzyć świeżą herbatę?

– Mam w nosie waszą pieprzoną herbatę! – warknął Stone. Przekleństwo wypowiedziane z jego lekko zagranicznym akcentem zabrzmiało dość dziwnie i nienaturalnie. – Co pan ma myśli, mówiąc „niekoniecznie szpiegiem”? Jest czy nie jest?

– Powiedzmy, że na pewno pracuje dla wschodnioniemieckiej tajnej policji – odparł Lorre. – Tyle wiemy. Pana bratowa jest pracownicą Stasi.

Stasi. Samo to słowo jeżyło mu każdy włos na skórze. Wszystkie niemieckie organizacje policyjne sprawiały, że cierpła mu skóra i tak będzie do samej śmierci. Nawet młodzi Niemcy z Niemiec Zachodnich, niewinni, uśmiechnięci, ubrani w pastelowozielone uniformy, z potarganymi włosami i celowo niemilitarnymi insygniami, byli dla niego trudni do strawienia. Ale Stasi to nowe Gestapo. Pracując w Foreign Office, Stone wiedział wystarczająco dużo o ich działaniach, żeby czuć się chory na sam dźwięk tego słowa.

Jego stary wróg na nowo narodzony. Stasi. Nawet samo to słowo brzmiało jak Nazi.

– Myli się pan – odpowiedział Stone. – Musi się pan mylić. Ja po prostu nie mogę uwierzyć, że ta kobieta, którą znałem, jest członkiem... tej organizacji.

– Och, z całą pewnością jest jedną z nich. Mamy co do tego całkowitą jasność. – Po raz pierwszy od początku przesłuchania odezwał się drugi mężczyzna. Ten, którego Stone obsadził w roli Humphreya Bogarta. Tyle że Humphrey Bogart nigdy nie mówił z akcentem z Yorkshire.

– Dagmara Stengel z domu Fischer pracuje dla Stasi – kontynuował Bogart. – Dlatego zainteresował nas fakt, że się z panem skontaktowała. Jak pan sądzi, dlaczego chciała nawiązać z panem kontakt, panie Stone?

Facet miał miękki akcent, tak sympatycznie i z niezmienną angielskością wymawiał samogłoski, jak słyszało się w audycjach radiowych J.B. Priestleya w czasie wojny. Ale Stone miał wrażenie, że w intencjach mówiącego nie ma nic miękkiego ani przyjaznego.

– Jest moją bratową – powiedział.

Bogart uśmiechnął się tylko, pozostawiając odpowiedź Peterowi Lorre.

– Tak, pana bratową – powiedział tamten, strącając okruchy z krawata – i jej rodzinne uczucia są tak silne, że skontaktowanie się z panem zajęło jej siedemnaście lat. A pan, na podstawie tego jedyne go kontaktu, nie wiedząc nawet, czy jest autentyczny, natychmiast zaczął planować podróż do Berlina Wschodniego, podróż, która, zważywszy pana pozycję, musiała spowodować zdziwienie w określonych kołach, czego musiał pan być świadomy.

– Moją pozycję?

– Daj pan spokój, Stone! – warknął Lorre. – Pracuje pan w Foreign Office. W wydziale niemieckim tego ministerstwa.

Stone nic nie odpowiedział. Oczywiście wiedział, co mają na myśli.

– Wydaje nam się to po prostu trochę nierozsądne, że średniej rangi urzędnik Brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych tak ochoczo nawiązuje kontakt z oficerem Stasi, nieważne, czy to bratowa czy nie – cicho i spokojnie powiedział głos z akcentem z Yorkshire.

– Ale ja nie wiedziałem, że jest oficerem Stasi! I muszę powiedzieć, że dziwi mnie, że wy tak uważacie. Dagmara jako młoda dziewczyna w ogóle nie interesowała się polityką.

– Jeśli się mieszka w Niemczech Wschodnich, to albo jest się komunistą, albo się udaje, że się nim jest – powiedział Peter Lorre. – Nie sądzę, żeby władze obchodziło, co jest prawdą. Poza tym wyzwoliła ją Armia Czerwona. Wyobrażam sobie, że dziewczyna musiała być wdzięczna.

– Z tego, co wiem na temat wyczynów Armii Czerwonej w jej drodze na zachód w czterdziestym piątym roku, niewiele niemieckich kobiet miało powód do wdzięczności.

– Ale pana bratowa jest Żydówką.

– A Sowieci zawsze kochali Żydów, prawda? – odparł Stone z gorzkim sarkazmem. – Wiecie równie dobrze jak ja, jaki był stosunek NKWD do Żydów. Te kremłowskie wilki nie były lepsze od nazistów.

– Co dowodzi naszej tezy – powiedział Bogart z uśmiechem.

– To jest jakaś teza? To znaczy poza tym, że dosłownie oskarżacie mnie o planowanie zdrady?

– Tak, mamy tezę. Pana bratowa nie bardzo pasuje do Stasi, nie tylko ze względu na jego endemiczny antysemityzm.

– No i dlatego... – zaczął Stone.

– A jednak Dagmara Stengel z całą pewnością jest jednym z ich oficerów – wszedł mu w słowo Peter Lorre, wiedząc, co Stone chce powiedzieć. – Co do tego nie ma wątpliwości. Żadnych wątpliwości. Sprawdziliśmy ją, jak tylko do pana napisała.

Przemknęła mu przez głowę okropna myśl, że to było możliwe. Nastolatka, którą znał Stone, może nie interesowała się polityką, ale była inteligentna i twarda. Dagmara była wojownikiem, a ktoś potrafiłby sobie wyobrazić, jakie okropieństwa musiała przeżyć od czasu, gdy się ostatnio widzieli. Na jakie kompromisy musiała pójść. Jak bardzo się zmieniła.

– Żydówka pracująca dla Stasi to dla nas ktoś, kto będzie pracował dla każdego – zauważył Bogart spokojniejszym, prawie znudzonym tonem – więc zastanawiamy się, czy skoro jedzie pan w tamtą stronę, nie chciałby pan jej przekonać, żeby pracowała dla nas.

Mówiąc to, mężczyzna uśmiechnął się. Tak, jakby prosił Stone'a o zabranie małego prezentu lub o zwrot książki.

CAŁKIEM NOWY MODEL

Berlin, 1921

– **ТО ЗНАЧЫ**, że będziesz musiała się rozebrać? – dopytywał się Wolfgang. – Przed tym durniem?

– Jeśli Herr Karlsruhen będzie tego wymagał, a jak sądzę – będzie – odpowiedziała Frieda, kokieteryjnie odrzucając do tyłu swoje gęste, ciemne, obcięte na boba włosy. – Nie wyobrażam sobie, żeby nimfy nosiły ubranie, prawda?

Wolfgang na stole kuchennym zmieniał Paulusowi pieluchę, trzymając stopy niemowlęcia w powietrzu, żeby je wytrzeć i przez chwilę wyglądało, jakby miał zamiar machnąć dzieckiem w proteście.

– No, ale ja nie chcę, żebyś to robiła – powiedział. – Co więcej, ja... ja ci zabraniam.

Głośny wybuch śmiechu Friedy w odpowiedzi na tę nieudaną próbę sprawowania małżeńskiej władzy został jednak zagłuszony przez Paulusa, który w tej samej chwili wydał przenikliwy wrzask, doszedłszy widać do wniosku, że pupę wycierano mu już wystarczająco długo i że nadszedł czas, aby Wolfgang uwolnił jego nogi.

Nieuchronnie płacz Paulusa zdopingował do tego samego Ottona; dzieci już dawno się zorientowały, że działając razem, powodują większy chaos.

– No i zobacz, co zrobiłeś – z naganą w głosie powiedziała Frieda.

– Ja zrobiłem? – wykrzyknął Wolfgang. – On płacze, ponieważ jego matka chce być striptizerką!

– Modelką, Wolfie!

– Nagą modelką, Friedo.

Wolfgang dokończył przewijanie Paulusa i gwałtownie położył go obok Ottona, w wyniku czego płacz wzmógł się jeszcze bardziej

i Frieda musiała spędzić dziesięć minut na kołysaniu chłopców i śpiewaniu im *Hoppe, hoppe Reiter*. To zawsze poprawiało im nastrój, bo to była ich ulubiona piosenka, a szczególnie wers o biednym jeźdźcu, który spadł i zjadły go kruki, co zdawali się rozumieć, choć nie umieli jeszcze mówić.

– Wolf, pozowanie nago to łatwa praca – powiedziała Frieda, gdy wreszcie dzieci ucichły. – A my z pewnością potrzebujemy tych pieniędzy.

– Aż tyle nie potrzebujemy!

– Och, nie potrzebujemy?

W odpowiedzi na swoje pytanie Frieda pomaszzerowała przez ciasną kuchnię i z rozmachem otworzyła drzwiczki małej, wbudowanej w ścianę szafki, którą nazywali spiżarnią. Poza kilkoma paczuszkami ziół i przypraw był w niej tylko mały kawałek sera, kilka centymetrów kiełbasy i garść marchwi, pięć przyzwoitej wielkości ziemniaków oraz pół bochenka czarnego chleba. W kuchni była jeszcze butelka mleka stojąca w misce z wodą na parapecie okiennym, a nad zlewem stał stoik mielonej kawy i trochę cukru.

– Nie mamy nic więcej, Wolf – powiedziała gniewnie. – To wszystko, całe nasze zapasy, dopóki nie znajdziesz jakiegoś zespołu, w którym mógłbyś grać albo dopóki znowu nie pójdziemy do rodziców. Ja jestem studentką, ty w zasadzie jesteś bezrobotny, a musimy nakarmić dzieci! Potrzebujemy pieniędzy i jeśli ten głupi człowiek chce mi je dawać w zamian za to, że będę miała gęsią skórę przez parę godzin, mam zamiar brać je obiema garściami.

– Jeśli chcesz wiedzieć, to on będzie chciał brać ciebie obiema garściami.

– On jest artystą, Wolf. I to bogatym. Płaci dużo więcej niż zwykłe stawki.

– Nie potrzebujemy tych pieniędzy. Damy sobie radę – dąsał się Wolfgang. – Nie głodujemy.

– Niemal, Wolf. Niemal głodujemy. A poza tym, co to za brak ambicji. Miło wiedzieć, że takie są nasze cele. „Nie głodujemy”, mówisz. Chciałabym osiągnąć coś więcej niż tylko stan prawie niegłodowania. Chciałabym mieć ciastka na weekend i więcej mleka dla dzieci, więc jeżeli rozbieranie się trzy razy w tygodniu może mi to dać, to jeśli o mnie chodzi, każdy rzeźbiarz w Berlinie może unieśmiertelnić mój tyłek w marmurze.

Wolfgang nachmurzył się, ale nie odpowiedział.

Po linoleum przebiegł szczur. Ze złością rzucił w niego butem.

Ten bezsilny gest nie wyrządził szczerowi żadnej krzywdy, ale przstraszył Ottona, który znowu zaczął płakać. To z kolei spowodowało, że Paulus odrzucił rękę w bok, drapiąc twarzyczkę Ottona paznokciami, które Frieda miała zamiar obciąć tego wieczoru. Otto rozdarł się jeszcze głośniejszym głosem, co oczywiście, zgodnie z niepisanymi zasadami obu braci, wymagało, żeby Paulus ryczał równie głośno.

Spokój zapanował dopiero wtedy, gdy Frieda przystawiła obu chłopców do piersi, czego serdecznie nie znosiła. Próbowwała ich od tego odzwyczaić, żeby zaprowadzić jakiś porządek w swoim coraz bardziej chaotycznym życiu, a poza tym położyła powiedziała jej, że dawanie piersi na pierwsze żądanie po dziewięciu miesiącach karmienia to prosta droga do anarchii i wszelkiego zła.

Kiedy Wolfgang przerwał ciszę, która w końcu nastąpiła, to ku zdumieniu Friedy wcale nie był skruszony, tylko dalej narzekał na jej nową pracę.

– Nie miałem nic przeciwko temu, gdy odbywało się to w Akademii Sztuk Pięknych – powiedział. – To było usprawiedliwione.

– Ach, więc gdy pięćdziesiąt osób ogląda mnie nago, to w porządku, ale jedna nie może? To o to chodzi? Auu! Cholera jasna!

Frieda jęknęła z bólu. Nowe ząbki niemowląt były jeszcze jednym powodem, dla którego chciała jak najszybciej przestać karmić piersią.

– Tak, o to dokładnie chodzi! – wykrzyknął Wolfgang. – Będziesz sama z tym napalonym starym łajdakiem w jego cholernym studiu.

– Zarabiając pięć razy więcej niż wynosi stawka na uczelni.

– Ale za co? Czego on za to oczekuje? To chcę wiedzieć.

– Oczekuje cycków i tyłka, Wolfie! – syknęła Frieda, próbując krzyczeć i jednocześnie nie podnosić głosu. – Czego akurat mam w obfityści, od kiedy bliźniaki dołożyły mi dziesięć kilogramów, których, chociaż jem tak niewiele, nie mogę zgubić!

– Ale dlaczego twoich cycków i tyłka? To właśnie chciałbym wiedzieć – ciągnął Wolf, dalej się nie poddając. – Co on w tobie widzi?

– No, dziękuję ci bardzo!

– Myślę, że mu się podobasz.

– Powiedziałam ci, Wolf – jest artystą, potrzebuje modeli dla inspiracji i twierdzi, że brak masła i mięsa w mieście sprawił, że jego zwykłe modelki straciły całą swoją witalność. Ja natomiast jej nie straciłam.

– Witalność? To on tak to nazywa? Witalność? Stary zbereźnik.

Wolfgang nie mógł jednak nie przyznać sam przed sobą, że rzeźbiarz miał rację.

Frieda zawsze zwracała uwagę swoją dziewczęcą świeżą twarzą i szeroko rozstawionymi oczami, małym zadartym noskiem i lśniącymi rudymi włosami. Miała szczupłą, choć atletycznie zbudowaną, modną teraz sylwetkę, ale wieńczył ją obfity biust i chociaż podczas ciąży rzeczywiście przybyło jej trochę w biodrach, nie ubyło jej przez to urody.

– No, ale poza wszystkim innym – powiedział Wolfgang, zmieniając taktykę – ten człowiek jest beznadziejnym artystą.

– To wiktoriański realista.

– Wydaje mi się, że właśnie to powiedziałem. Tak uważam, naprawdę. Jaki sens ma realizm? Wynaleziono kamerę. Zrób sobie cholerne zdjęcie. Lepiej załatwi sprawę i to w dodatku za naciśnięciem migawki, w czasie jednej setnej sekundy.

– Wielu ludziom podoba się realizm.

– Wielu ludzi to idioci.

Frieda odłożyła dzieci i z hałasem postawiła garnek na płycie kuchenki, żeby zagotować wodę.

– Nie mam zamiaru kontynuować tej śmiesznej konwersacji.

– A ja ci jeszcze coś powiem... – zaczął Wolfgang.

– Nie słucham.

– Ten Karlsruhe jest totalnym reakcjonistą. Czytałem wywiad z nim. Na miłość boską, on wspiera stahlhelmy!

– Czyli co? Miałby prawo oglądać moje cucky, gdyby był komunistą?

– No nie, chyba nie – przyznał Wolfgang. – Ale z pewnością miałby, gdyby był ekspresjonistą lub surrealistą!

– Wolfie, jesteś kompletnym idiotą.

– Ach, to ja jestem idiotą, tak? Dobrze więc, powiedz mi jedno. Czy ten twój drogi Karlsruhe każe ci trzymać włócznię i nosić skrzydlaty hełm?

Frieda zawahała się. Tu ją miał. Nie mogła się nie uśmiechnąć. Rzeczywiście dość absurdalnie to będzie wyglądało: Żydówka uosabiająca ducha ludowych Niemiec i jednocześnie cały czas myśląca o tym, czy z jej sutków nie zaczną kapać mleko.

– No... tak – przyznała. – Rzeczywiście wspominał o włóczni i hełmie.

– O skrzydlatym hełmie.

- Podobno kiedyś. Jak będziemy robić Córy Renu.
- Cień uśmiechu pojawił się teraz także w kącie ust Wolfganga.
- Masz zamiar stać tam kompletnie naga w skrzydlatym hełmie?
- Chyba już ci to mówiłam.
- A czy Córy Renu to nie były nimfy?
- W tym przypadku nimfy w hełmie.
- Co nie jest typowe dla nimf.
- Jest, dla Herr Karlsruhena. Wolf, bądź realistą – powiedziała Frieda, próbując zawrzeć rozejm. – Jeśli on uważa, że wyglądam jak ucieleśnienie niemieckiej kobiecości, to co nas to obchodzi. Powiedzia-
łam ci, płaci najwyższe stawki, a jedyne, co muszę robić, to stać nieru-
chomo i słuchać Wagnera.
- Za słuchanie tego gówna powinien płacić ci najwyższą stawkę.
- Trochę Wagnera mi nie zaszkodzi.
- Był walczącym antysemitą.
- A co to ma wspólnego z jego muzyką?
- Mówię tylko, że był równie gównianym człowiekiem jak kompo-
zytorem.
- Nie wszyscy możemy być superjazzmanami, Wolf. Ktoś musi
czasem napisać jakąś melodię. Jesteś naprawdę głupi.
- A ja proszę, żebyś się odniosła do mojego poprzedniego stwierd-
zenia, że to nie ja planuję stać nago w samym tylko hełmie! Pomyśl
tylko. Nago ale w hełmie. To przeczy logice, a może w Asgard ludzie
obrywają tylko w głowę?
- No i kto teraz interesuje się realizmem?
- Frieda skierowała swoją uwagę na stertę pieluch moczących się
w kuble.
- Ten człowiek żyje w najgorętszym, najbardziej szalonym mieście
Europy. Każda pracownia ma jakiegoś szalonego geniusza, który łamie
wszystkie zasady dotyczące formy. A ten idiota chce wyryć w kamieniu
Cykl Pierścienia.
- Frieda wyłowiła z kubła kapiącą pieluchę i zaczęła przekręcać ją
przez magiel.
- Jesteś żalonym, zadufanym w sobie reakcjonistą *à rebours*, co
jest, szczerze mówiąc, mało atrakcyjne – powiedziała.
- Magluj dalej – odparł Wolfgang. – Karlsruhenowi spodobały się
twoje muskuły. A jak będziesz miała szczęście, to może nawet awansu-
je cię na Brunhildę.

– Wiesz co, w sztuce może być więcej trendów niż tylko ten jeden, który znasz – powiedziała Frieda przez zaciśnięte zęby, bo usiłowała sobie poradzić z ciężkim uchwytem magła. – Nie każdy chce oglądać to, co się tobie podoba, te wszystkie obrazy pokazujące niemowlęta na bagnietach i okaleczonych żołnierzy. Nie każdy jest Georgem Groszem czy Otto Dixem.

– Fantastyczni geniusze, obaj. Po prostu jazz na płótnie. Ludzie tacy jak Karlsruhe i te jego kretyńskie stahlhelmy bez przerwy powtarzają, że trzeba sprawić, aby Niemcy były znowu wielkie. Niemcy są wielkie. W Paryżu czy w Nowym Jorku nawet nie zaczęli jeszcze myśleć o tym, co w Berlinie już się dzieje, zaledwie kilkaset metrów od nas.

– Czy ty siebie nie słyszysz? – zapytała Frieda, a woda z pieluch spłynęła kaskadą do pojemnika magła. – Jesteś bardziej szowinistyczny niż stahlhelmy z tym twoim „mamy lepszą sztukę w Niemczech niż ci cholerni cudzoziemcy”. Więc nawet awangarda jest nacjonalistyczna? Żałosne.

Ton Wolfganga zaświadczył, że mimo woli przyznaje jej rację.

– Mówię tylko, że nareszcie dzieje się tu coś, z czego możemy być dumni.

– Więc czułbyś się lepiej, gdybym pozowała komuś, kto namalowałby mi kwadratowe cycki i trzy pośladki? To byłoby w porządku, tak?

– To by było o wiele lepsze.

Frieda nie odpowiedziała, ale z jeszcze większą zaciekłością pokręciła korbą magła.

CÓRY RENU

Berlin, 1922

.....

POMIMO PROTESTÓW WOLFGANGA, Frieda podjęła pracę modelki i przez cały 1921 oraz w następnym roku pozowała Herr Karlsruhenowi. To właśnie w drodze do studia rzeźbiarza usłyszała okropną wieść, że minister spraw zagranicznych Niemiec został zastrzelony, zamordowany w drodze do pracy przez nastolatka, którego namówili do tego czynu reakcyjni antysemita. Gazeciarz ogłaszał specjalne wydanie „Berliner Tageblatt”. – Walther Rathenau nie żyje! – wołał chłopak. – Zastrzelony w swoim samochodzie.

Friedzie zrobiło się niedobrze. Akurat gdy sytuacja zaczęła się trochę poprawiać, najważniejszy mąż stanu w republice nie żyje. Stary niemiecki obłęd znowu podnosił swój oszalały, zakuty w żelazo łeb.

Wysiadła z tramwaju na zatłoczonej Müllerstrasse i skręciła w boczną uliczkę, kiedyś pełną małych sklepików i magazynów, a dzisiaj głównie mieszkalną. Ulica znajdowała się na skraju robotniczej dzielnicy Wedding, cenionej przez artystów za swoją robotniczą, przyziemną wiarygodność i jednocześnie nieco artystyczną aurę.

Karlsruhen wynajął studio wystarczająco blisko centrum dzielnicy, żeby reputacja tej okolicy dodała mu nieco prestiżu, a jednocześnie nie za blisko, żeby nie pogрузić się w jej niebezpiecznym lewactwie, bo dzielnica znana była w mieście jako czerwone Wedding. Konsjerżka w budynku Karlsruhena, wpuszczając Friedę do środka, przyjrzała jej się podejrzliwie, najwyraźniej uważając, że modelki pozujące nago muszą być dziwkami. Frieda odpowiedziała jej spojrzeniem pełnym dumnej pogardy, po czym weszła po schodach do studia na poddaszu, w którym pracował Karlsruhen. Drzwi były uchylone i mogła słyszeć, jak rzeźbiarz śpiewa do wtóru gramofonu odtwarzającego

„Götterdämmerung”. Kiedy pracował, zawsze towarzyszyła mu muzyka, ale zazwyczaj nie śpiewał. Frieda zastanawiała się, czy nie jest trochę pijany. Karlsruhe uwielbiał piwo i wódkę.

Zapukała stanowczo, powodując, że drzwi otworzyły się szeroko pod naciskiem jej pięści. Wiedziała, że kręciłby na to nosem. Kiedyś już zganił ją za to walenie do drzwi jak doker i poprosił, żeby była bardziej delikatna i powściągliwa, przynosząc chlubę swojej płci. Co oczywiście sprawiło, że następnym razem Frieda zapukała jeszcze mocniej i od tej pory nieodmiennie waliła w drzwi przy każdej wizycie. Ta demonstracja ducha walki wydawała się jednak tylko zwiększać jej atrakcyjność. Karlsruhe chichotał głupkowato z pobłażliwością, jakby była niegrzeczną dziewczynką, a on jej cierpliwym ojcem.

Wszystko to sprawiało, że Frieda czuła się nieswojo, ale musiała się przygotowywać do końcowych egzaminów, a w Berlinie stanie nago stanowiło najłatwiejszy sposób zarabiania pieniędzy. Znała wiele dziewcząt, które chętnie by się z nią zamieniły.

Jednak ostatnio, trzeba przyznać, zachowanie Karlsruheena było coraz śmielsze. Zaczął ją nazywać swoim niesfornym skarbem i małym pączusiem, na co ona aż skręcała się w środku. Wolfgang twierdził, że powinna domagać się podwyżki. Ona jednak czerpała siłę z myśli, że kiedy zdobędzie dyplom lekarza, nigdy już nie będzie musiała oglądać tego starego głupca.

– Wejść – ze środka dał się słyszeć znajomy, zarozumiały głos.
– Naprzód, drogie dziecko, i daj się rozpoznać.

Karlsruhe nigdy nie był w wojsku, ale uwielbiał przyjmować quasi-militarny ton.

Oczywiście był sam, Frieda była pewna, że tak będzie. Wcześniej zawsze był tu jeden lub dwaj młodzi mężczyźni, zajęci gipsem i narzędziami w oddalonym kącie studia. Uczniowie Karlsruheena, jak ich nazywał. Podkreślał fakt, że ma „uczniów”, choć dla Friedy wyglądali bardziej jak płatni asystenci. Najwyraźniej wydawało mu się, że jest jakimś Michałem Aniołem. Ostatnio jednak, gdy nadchodził czas pozowania Friedy, Karlsruhe wysyłał tych uczniów po zakupy albo z jakimś innym poleceniem.

Frieda weszła w olbrzymią przestrzeń rozciągającą się przez całą długość i szerokość budynku. W ciągu dnia studio tonęło w przepięknym naturalnym świetle, płynącym z nieba nawet w chmurne dni. Teraz jednak zapadał wieczór i Karlsruhe zapalił słabe, czterdziestowatowe

żarówki zwisające z sufitu i rzucające niesamowite cienie na nieme gipsowe figury porozstawiane w pokoju.

W odległym końcu studia na pustej plincie stała lampa, której osłonięta kloszem żarówka jak teatralny reflektor wskazywała miejsce, gdzie Frieda miała pozować.

Wielki człowiek stał tam, gdzie zwykle, w swoim białym fartuchu i berecie, Frieda jednak nie sądziła, żeby dużo pracował, widząc butelkę wódki w jego ręce.

Karlsruhe rzeźbił głównie w glinie, wytwarzając umiarkowanie erotyczne figurki, z których robiono odlewy, a potem powstawały z nich niezliczone gipsowe repliki sprzedawane na targach. Miał jednak także ambicję tworzenia większych form i czasami rzeźbił w brązie, a od przypadku do przypadku także w marmurze, choć takie materiały były oczywiście trudno dostępne.

Odziana na biało postać patrzyła w milczeniu, jak Frieda przechodzi przez pokój, stukając obcasami o gołe, zakurzone deski podłogi. Szła, mijając niedokończone bohaterskie postacie i nieśmiałe nimfy, dookoła drabin i worków z gipsem, przestępując ponad pędzlami i paletami, wymijając stoły na kozłach wypełnione nożami, dłutami, ołówkami i papierem. Musiała przejść około dwudziestu metrów, podczas których oczy Karlsruheena śledziły każdy jej krok, dopóki nie doszła do małego przepierzenia w rogu, nazywanego przez Karlsruheena jej przebieralnią.

Friedę śmieszyła ta jego absurdalna kurtuazja. W końcu nie było żadnego przebierania, tylko rozbieranie, co starała się robić tak szybko, jak to możliwe, bo czas jej pozowania zaczynał się dopiero wtedy, gdy już rozebrana stała na swoim miejscu. Nawet byłoby prościej rozbierać się obok podium. Frieda wspomniała o tym, ale Karlsruhe nalegał, że wszystko powinno się odbywać odpowiednio i że musi się rozbierać „na osobności”. Ostatnio zauważyła, że jej przebieralnia odsuwała się coraz dalej od podium. Najwyraźniej oglądanie jej, gdy naga przechodziła przez studio, sprawiało Karlsruheenowi przyjemność – bez wątpienia większą niż namolne wpatrywanie się, gdy stała nieruchomo w przybranej pozie.

– Dobry wieczór, panienko – powiedział Karlsruhe. – Co za radość widzieć panią, słońce zaszło, lecz jego promienie ciągle lśnią w pani uśmiechu.

– Dzisiaj się nie uśmiecham, Herr Karlsruhe. Nie słyszał pan? Zastrzelili Walthera Rathenaua.

Nie miała zamiaru zaczynać tego tematu, zwykle unikała wymiany poglądów z Karlsruhe na jakikolwiek temat, ale było to lepsze niż wysłuchiwanie jego ciężkich i przesłodzonych, niepożądanych komplementów.

– Tak, słyszałem – lekceważąco skomentował Karlsruhe – ale liczy się nie tyle strata ministra spraw zagranicznych, ile pozbycie się Żyda!

I zaśmiał się, jakby powiedział jakiś doskonały dowcip.

Frieda nie odpowiedziała. Była przyzwyczajona do zdawkowego antysemityzmu. Zazwyczaj nie uważano jej za Żydówkę, więc ciągle słyszała takie uwagi. W Berlinie były one tak powszechne jak opinie na temat pogody. Nic więcej się pod nimi nie kryło, więc gdyby traciła czas na konfrontację, nie miałaby go na nic innego.

– Nie mogę sobie przypisywać autorstwa tego stwierdzenia – kontynuował Karlsruhe. – Przyjaciół powiedział mi to przez telefon. Usłyszał je w Tiergarten w chwilę po zabójstwie. Ludzie są tacy pomyślowi, prawda?

– Może powinniśmy już zacząć – powiedziała Frieda.

– Ależ tak! Natychmiast, maleńka. Nie rozwódźmy się nad okropną teraźniejszością Niemiec, zamiast tego powędrujmy razem w jej mityczną przeszłość! Chociaż boję się, że mój marny talent nie ma szans równać się z urodą, którą ozdabiasz moje studio. Zimna glina ani brąz, ani nawet marmur nie są w stanie oddać ciepłej i subtelnej tonacji pani wybornie miękkiej, jasnej skóry.

Innego dnia Frieda mogłaby próbować odpowiedzieć uśmiechem na odrażające komplementy tego człowieka, choćby po to, aby nie ujawniać przyprawiającego ją o mdłości zażenowania, ale dziś zachowała kamienną twarz, znikając za przepierzeniem. Atmosfera była jakaś inna niż zwykle. Karlsruhe był bardziej pewny siebie, bardziej zarozumiały. Najwyraźniej schnaps dodał mu odwagi. Miała nadzieję, że nie będzie już więcej pił.

Zrzuciła ubranie tak szybko, jak się dało i wyszła naga, czując wyjątkowe zakłopotanie. Była przyzwyczajona do łakomych spojrzeń Karlsruhe'a i zazwyczaj traktowała je prawie obojętnie, ale tym razem uczucie, że jego oczy obmacują jej ciało, wzbudziło w niej nagłe obrzydzenie. Zajęła miejsce na swoim podium i przyjęła pozę, nad którą pracowali na poprzedniej sesji, opierając się delikatnie o stółek, który, jak ją zapewniał Karlsruhe, zostanie później zamieniony w skałę, przy której czarowna Córa Renu będzie baraszkowała w pienistym szale wielkiej rzeki.

Karlsruhen włączył lampę i Frieda wzdrygnęła się, gdy oblał ją oślepiający blask.

– Moja droga, czy nie jest pani zimno? – usłyszała pytanie schowanej w cieniu postaci. – Widzę, że sutki twych piersi sterczą dumnie. Cudowny detal dla mnie artysty, szczególnie że moja mityczna postać ma być ukazana w lodowatej górskiej rzece, ale boję się, że się przeziębisz.

Frieda poczuła, że rumieni się pod maską bezruchu. Karlsruhen mówił w ten sposób coraz częściej. Prawiąc ekstrawaganckie komplementy i czyniąc osobiste uwagi na temat szczegółów jej ciała. Coraz mniej starając się ukryć swoje jawne pożądanie pod pretekstem profesjonalizmu.

Dzięki Bogu wkrótce stąd wyjdzie. A tymczasem uda, że nie słyszy. W końcu wszyscy artyści byli skrycie nieco zadurzeni w swoich modelkach, czyż nie?

– Pani włosy to tajemnica, moja droga – mówił Karlsruhen, nawet przez chwilę nie próbując pracować w glinie, stojąc tylko i gapiąc się na nią. – Czy są rude? Czy czarne? Przysięgam, kiedy czasem pada na nie światło lampy, niemal płoną szkarłatem.

Frieda wyczuła, że Karlsruhen wcale nie patrzy na jej włosy, ale nie była pewna, ponieważ ustawiła się tak, że miała go poza zasięgiem oczu, a nie wolno jej było poruszać głową.

– Szkoda, że nie pozwoliła im pani rosnąć, żeby utworzyły dumną koronę, zamiast tych śmiesznych paziowych potworności, którymi pani i pani nowoczesne siostry się wandalizujecie. Kiedy zacznę pracować nad głową mojej Córy Renu, będzie pani musiała zakładać perukę ze złotych włosów, bo włosy prawdziwej córy niemieckiej ziemi spływają aż do jej... do jej... *derrière*.

Głos mu się załamał. Okrążył ją. Czowała, że zatrzymuje się za nią i wiedziała, na co patrzy.

Frieda postanowiła ignorować to żenujące gadanie i myśl o wielkiej, spoconej, pożądliwej twarzy za plecami. Przynajmniej nie musiała reagować, to było wybawienie w tej pracy. Nie wymagał od niej rozmowy. Płacił za to, żeby stała bez ruchu, bez emocji i bez słowa.

Jemu też się to podobało. Czowała to. Lubił jej milczenie, jej uległość. Jej posłuszeństwo. Czy nie ono jest podstawą tej całej *Kinder, Küche, Kirche*, na punkcie której stare *völkische* dinozaury mają obsesję? Dzieci, kuchnia, kościół. To są obowiązki porządnej niemieckiej

kobiety. Ale przede wszystkim posłuszeństwo jej mężczyźnie. Na szczęście jest rok 1922 i wszystko, dzięki Bogu, ulega zmianie. Jej dyplom lekarski stanowi najlepszy dowód. Frieda skupiła się na myśli o studiach. W ten właśnie sposób zawsze spędzała długie męczące godziny pozowania – powtarzając w myślach to, czego nauczyła się poprzedniego dnia. Aktualnie przerabiała temat krążenia krwi, więc nastawiła się na zgłębianie anatomii serca i zaczęła w myślach przewracać strony podręcznika.

Właśnie próbowała rozróżnić tętnice od żył, gdy to poczuła. Rękę Karlsruhena na swojej piersi.

Podsłoczyła jak rażona prądem, zeskoczyła z małego podium, na którym pozowała, i padła jak kłoda na podłogę.

– Proszę. Proszę – powiedział Karlsruhen, podchodząc bliżej.
– Pani pozwoli, pomogę wstać.

– Wynoś się! – Frieda stanęła na nogi. – Co pan sobie wyobrażał, dotykając mnie? Jestem kobietą zamężną. Chcę się ubrać.

Ale Karlsruhen zagradzał jej drogę, stojąc pomiędzy nią i przebiegalnią, z mieszaniną strachu i pożądania na twarzy.

– Pani się potknęła – protestował. – Musiała pani zdrętwieć noga.

– To łgarstwo! Dotykał mnie pan! – wykrzyknęła Frieda ze złością.
– Macał pan mój biust. Proszę mnie przepuścić.

– Poprawiałem pani włosy – zapewniał. – Nieumyślny ruch. Ześliźnęła się ręka. Co pani sugeruje, Frau Stengel? Krzywdzi mnie pani. Pani mnie obraża.

Frieda spojrzała na niego twardo. Dobrze wiedziała, co się wydarzyło, ale on zaprzeczał i to kończyło sprawę. W pewnym sensie poczuła ulgę. Mniejsza o pieniądze, ich relacje się skończyły. Już nigdy nie będzie musiała go oglądać.

– Proszę zejść mi z drogi, Herr Karlsruhen. Niestety, już nie będę mogła panu pozować.

– Nie, proszę tak nie mówić.

– Niestety. Nie mogę. Proszę wypłacić mi pieniądze, które jest mi pan winny, a ja się tymczasem ubiorę.

Minęła go, sądząc, że to koniec incydentu, ale ku jej przerażeniu, schwycił ją od tyłu. Nagle otoczył ją ramionami, a twarz wtulił w jej włosy.

– Proszę... – mamrotał. – Kocham cię, maleńka. Jesteś dla mnie wszystkim. Całym światem!

Frieda usiłowała wydostać się z jego objęć, znowu krzycząc, że ma męża i że przecież on też jest żonaty.

– To krowa! – wyznał Karlsruhen, obracając Friedę do siebie, wionąc jej w twarz gorącym oddechem. – Ona mnie nie rozumie. Tylko ty mnie rozumiesz! Jesteś wszystkim, czym kobieta być powinna, jesteś moja muza. Moją miłością.

Chwycił ją mocniej, przyciskając jej nagie ciało do swojej piersi. Czowała sznapsa w jego oddechu. Nie był młody, ale był silny, a alkohol i pożądanie dodało mu sił. Frieda usiłowała się wyrwać, ale nie dała rady. Z tyłu czuła jego rękę wpijającą się między jej pośladki, a z przodu wciskającą się w brzuch jego erekcję.

– Moja niemiecka córeczka – sapał. – *Meine kleine Woglinde, Wellgunde und Floßhilde!*

I nagle Frieda zrozumiała, jak powstrzymać to szaleństwo.

Naga, znacznie mniejsza niż napastnik i zaskoczona, nie miała szans, by go pokonać, ale nie musiała z nim walczyć. Wiedziała, co stanowi jego słabość. Nie oblaśniał jej, tylko wytwór swojej wyobraźni, wypaczoną sentymentalną obsesję.

Jedno słowo ugasi jego namiętność.

– Herr Karlsruhen! – zawołała, zmuszając go, żeby na nią spojrzeć. – Nie jestem pańską Córką Renu, dupku! Jestem dorosłą kobietą. Wkrótce będę lekarzem, a przede wszystkim – jestem Żydówką!

Minęła jakaś sekunda, zanim jego uścisk rozluźnił się i Karlsruhen zdumiony cofnął się o krok.

Frieda skorzystała z okazji i pobięła za przepierzenie po ubranie.

– Jest pani... Żydówką? – powiedział. – Nigdy pani nie mówiła.

– Powinnam wezwać policję! – krzyczała w furii Frieda, wciągając bieliznę i zapinając sukienkę.

– Pani... pani nie wygląda jak Żydówka – słyszała, jak mamrocze.

– A jak Żyd wygląda, ty bezmyślny durniu? – krzyknęła Frieda, wychodząc zza przepierzenia i wkładając buty. – Uważasz, że powinnam mieć nos jak hak od łodzi, ty głupi stary kutasie!

– Proszę... bez takich słów. To nie pasuje do...

– Bez takich słów! Próbowaleś mnie zgwałcić!

– Nie! – zapewniał. – Tylko objąć, pocałować, sądziłem, że nie będzie pani miała nic przeciwko temu. Przepraszam. Proszę wyjść.

– Najpierw oddaj mi pieniądze! – powiedziała Frieda, chwytając za wielki nóż od palety i kierując go w stronę twarzy Karlsruhena.

Karlsruhen sięgnął do kieszeni fartucha i wcisnął jej do ręki zwitek banknotów.

– Niech pani idzie. Proszę wyjść.

Frieda odrzuciła nóż i pobiegła do drzwi.

– I powiem panu, Herr Karlsruhen, że tylko dlatego nie wyznam mężowi, co pan dzisiaj zrobił, bo zabiłby pana. Rozumie pan? Zabiłby!